

ROZDZIAŁ IV

KARCZMA „POD CHORAĞWIANĄ KLACZĄ”

Półmrok panujący w podziemiach kontrastował z jasnością na dworze, zaś zadymione pomieszczenie – przepojone niewidocznym dla oczu, choć odczuwalnym w duszy smutkiem żałobników po wielekroć żegnających w komnacie umarłych swych drogich bliskich – wypełniały trumny wszelakie: drewniane, kamienne, z podobiznami denatów albo bez nich, z ich nazwiskami wykutymi, wyciosanymi, namalowanymi lub wypisanymi na wiekach. Dalej szły urny, z których wołały szare prochy, by padło na nie światło rzadkich świeczników, prosząc żyjących o chwilę uwagi w ponurym królestwie śmierci czyniącej z ludzi bliźniacze sterty doczesnych szczątków. Popioły, przypominające przyzmy pyłu i innego śmiecia zgarniętego miotłą przez sprzątaczy, zdawały się rywalizować o miejsce przed oczami pielgrzymów, pchając się do nisz, przeskakując na sarkofagi lub ustawiając się rzędem na katafalku, zwiastując żalną prawdę: uszanuj nasz los, bo sam kiedyś znajdziesz się w tym miejscu! Memento mori, pędziwiatry! Wy, którzy drałujecie od przystani do przystani i wiecie, gdzie z korzyścią plony sprzedać, a nie umiecie testamentu sporządzić! Ciała zgasłych łaknęły uwagi, czekały uszanowania jak kania dżdżu, a słyszał je tylko Andurs, zwykły kapłan. Dzień w dzień wycierał sosnowe jesionki, otrzepując relikwie z kurzu zapomnienia, przystrajał je bukietami z gerber, wiązkami kalii i zapalał znicze – pulsujące światełka nadziei, że choć wszystko się skończyło, nic nie przeminęło.

Niektórzy zapewne wykpiwali taką troskę duchownego. Zmarli? Czyż nie lepiej poświęcić się żywym? Mało to żyjących – chorych, starców – potrzebuje opieki? Andurs nie brał tych przytyków do serca, bo skoro tak mówili, a sami nawet palcem nie kiwnęli, by pomóc takiej czy innej starowince zejść po schodkach, oznaczało to, że ich słowa, rozpuszczone językami jaszczurczymi, były jałowe i puste jak faska gospodarza po suszy. Toć tylko chodzący po świecie zasługują na szacunek? Kości i krew już nie? Plujcie więc na truposzy! Siadajcie czterema literami na czterech deskach, biesiadując w tancbudzie! Kopulujcie w drewnie pudła, jeśli mocno nie śmierdzi; atłasy na posłaniach są wszak tak samo miękkie jak wyściółki trumien! A kiedy ork posłyszysz odgłos spazmów w przestworzach, będzie to dla niego znak, że godzina tych szyderców wreszcie wybiła, a jeśli kpiarz grzecznie był Orsimera poprosił, uda się po jego

zgonie na cmentarz, podważy przykrywą i wybije umrzykowi zęba, robiąc z kła brelok do bransolety. Wszystko to w imię prawdy głębokiej jak kałuża rynsztokowa po pięciominutowej mżawce, że mir i estyma przysługują wyłącznie tym, których serca ciągle biją – a istotnie nadają rytm, by ostatnie podrygi mieściły się w takcie.

Śmierć – to sen jeno, pogrzeb – kołysanka, nadzieja – najprawdziwsza bajka na dobranoc, w której kostucha, jak zła Baba-Jaga, zawsze zgorzeje w piecu.

Orsimer, snując te – nazwijmy to – funeralne rozważania, przepytał Andursa na temat niezwykłych wypadków zachodzących w katakumbach, jak również poinformował go o spotkaniu ze zjawą Calanisy Silmendy. Kapłan, gryząc czerstwy bochen, zakrzuszył się, a następnie zamienił w słup soli, słysząc te rewelacje. Później jednakże doszedł do siebie, a namyśliwszy się dogłębnie, skonstatował, że zwid ujrzany przez Golzagora kojarzył mu się z ludowymi podaniami o południcach – pokutujących duszach pięknych kobiet, które egzaminowały osoby przebywające w polu o godzinie dwunastej. Nieszczęśnikowi takiemu niewiasta zadawała przypadkowe pytanie, a jeśli nie udzielił poprawnej odpowiedzi, duch chwycił biedaka, wtrącał go do beczki nabitej gwoździami i toczył ze zbocza, co kończyło się wiadomym skutkiem – jegomość służył odtąd jako nader wydajny durszlak. Jak to dobrze, że ork znał od podszewki historię Tamriel! Dlaczego jednak zona jarla stała się południcą? Czemu nieboszczycy powstałi z grobów i włóczą się w krypcie? Gro-Barlurka oraz duchowny roztrząsali problem, rozkładali go na czynniki pierwsze, spekulowali i wdawali się w szczegóły, aż w końcu orzekli, że nie mają pojęcia, gdyż o czymś podobnym dotąd nie słyszeli.

Rychło do komnaty umarłych zeszło dwóch pechowych strażników, zaś ich nieszczęście polegało na tym, że wyciągnęli najkrótsze słomki i tym sposobem zostali wyznaczeni, by obeznać się ze zmartwychwstałymi. Obaj dygotali wprost ze strachu i stało się jasne, że żaden z nich pożytek, aczkolwiek posiadali przynajmniej miecze oraz tarcze, którymi dałoby się opędzać od umarłaków, gdyby ci zanadto się zbliżyli.

– Farengar powiedział, że nie ma czasu, aby się tym zająć! – wybuchnął jeden z wojskowych.
– Siedzi z nosem w książkach i czyta co o smokach, wstrętny urzędas! Wszystko spadło na nasze barki!

– Spokojnie, teraz jest nas czterech – uspokajał go wyznawca Arkaya. – Martwi nie opuszczają tamtego pomieszczenia, widzicie? – Andurs wskazał na wiekowe, żelazne drzwi w głębi sali. – To najstarsza część grobowca. Przygotujmy się i chodźmy zobaczyć, co się dzieje – nakazał mało sugestywnie, ponieważ jego głos drżał delikatnie, wzmocniony przez echo w ciemnej komorze.

Pomimo tej komendy nikt nie występował przed szereg, rwąc się do wykonania rozkazu. Minorowy nastrój podziemi udzielał się przebywającym w nich strachajłom, którzy oczekiwali, aż kto inny zrobi pierwszy krok, tak jakby śmiałek na księżą oborę patrzył. Wreszcie przemógł się Orsimer, ruszył rażno przed siebie i bez słowa posunął ciężkie odrzwia wydające przy tym paskudny, skrzypiący dźwięk, niosący się po całej komnacie i świdrujący potwornie uszy zajęczych serc. Za wrotami rozciągała się mętna, sfinksowa, nieprzenikniona szarość, a kłęb paprochów popodnosił się z zapyłonego pawimentu, niosąc w eter duszące okruchy brudu i kawałki wspomnień, które niczym reminiscencje cisnęły się do umysłu, przywołując na pamięć widmo martwych. Utkane misternie sieci pajęczce uderzały w czoło chwata, gdy jako koryfeusz dygoczącego pochodu stapał wstrzemięźliwie pośród upiornych mar, usiłując odpędzić myśl jakby przytroczoną do głowy, że zaraz zza węgła wyskoczy nań potwora, wpijając się zębami w jego wibrującą konwulsyjnie grdykę. Pobladły żołnierz starał się natenczas rozpaścić pochodnię, która wyslizgnęła mu się z prawicy, a wpadłszy do błotnistej sadzawki, dokumentnie zgasła, bowiem łuczywo przesiąkło brudną wodą. Hałasu narobił przy tym co niemiara, zaś próbując złapać pierzchający kawał smolnego drzewa, brzękał okrutnie stalą zbroi, aż krew ścinała się w sercu.

– Pst! – syknął Golzagor na przedzie. – Cicho sza! Bo wykorkuję! – grzmiał.

Poniechał admonicji, kiedy enigmatyczny klangor rozszedł się po wnętrzu, na zmianę rosnąc w siłę, gdy odbijał się od ścian, i słabnąc wśród pustych przestrzeni. Nie dochodził od wojaków niedorajd ani tym bardziej źródłem dźwięku nie był starzec, zatem niespotykane stuki i głosy wydawało coś innego, z czym grupa jeszcze się nie zetknęła. Wojskowi do znaku postradali zmysły, a jeden z nich, z duszą na ramieniu, zeszywniał przelękniony i nie chciał iść dalej, jednak po krótkim namyśle zmienił zdanie, zorientowawszy się, że zostałby wtedy w krypcie sam jak kołek w płocie. Orsimer brnął mimo wszystko naprzód; niechętnie, lecz ciekawość w nim zwyciężyła i pchała go ku niewiadomemu. Gdy pokonywali kolejne mroczne, parne zaułki, pogwar zmieniał się sukcesywnie w pojedyncze sylaby, wyrazy, aż wreszcie dało się złowić uchem całe zdania, które dźwięczały ciszką w podziemnej galerii. Andurs wsłuchiwał się w arcydziwne słowa, deliberując nad ich sensem, lecz oznajmił zaraz, że cudaczna mowa nie była żadnym ze współczesnych dialektów Tamriel, toteż nie potrafił wyjaśnić jej znaczenia:

– *Praad naal Alduin. Heind Lein Naakin!* – wołał ktoś przerafinowanym językiem.

– *Fen grind ko Sovngarde. Werid faal Vozahlaas Dovah!* – odpowiedział inny.

Po chwili z zakamarka, znajdującego się przy otwartej trumnie, dobiegł stukot, jakby kto łomotał kołatką o dębowe drzwi albo walił pałką w terakotę. Na moment nastąpiła cmentarna cisza,

a potem znów pospieszne szuranie – głośniejsze i głośniejsze... Cień mignął na ścianie, urósł do mamucich rozmiarów, padając na drewniany szlafrok, w którym winien spoczywać zewłok, acz skrzynia do pochówku zionęła wstrętą, szatańską pustką. Znienacka wyszło to zza winkła, powłócząc nogami...

Nogami?! Zaledwie kości same niosły szkielet kląskający stopami po posadzce: łup, łup! Nie było przeszkód, ażeby wszystkie gnaty obejrzyć truposzowi, bowiem ani kawałka skóry, ani mięsa, mięśnia, ścięgien jakich nie dało się uświadczyc na nim, zaś z przestrzeni między żebrami przebijał się widok zdobnych popielnic za plecami umarlaka! W jaki sposób to w ogóle stało? Jak utrzymywało się na kończynach, które w mięśniach nie miały oparcia? Jedynie w czaszce, w oczodołach błyszcząły pozostałości cielesnej powłoki, lecz nie zwyczajne ślepia, których należało spodziewać się w tym miejscu, tylko dwa ćmiące punkty: błękitne, modre, lazurowe niczym przestwór nieba, jaśniejące blaskiem podobnym do gromnic zapalanych przy konających, by oświecały umierającym drogę do wieczności.

Bojownicy stanęli jak wryci, gapiąc się na to cudactwo, kapłan zajęczał przerażony, natomiast Golzagor cofnął się, potracając trójramienny lichtarzyk, przy którym krążyła brudnoszara ćma, a przepłoszona nagłym ruchem odfrunęła do następnego kandelabru.

– Cóż to za szkarada?! – wzniósł okrzyk strażnik, osłaniając się przezornie tarczą.

– Sigurdzie! – szlochał duchowny. – Czy to naprawdę ty?! Poznaję po amulecie na twojej szyi! Pamiętasz, kiedym składał cię do grobu przed latami? – wzdychał Andurs, wyciągając dłonie do straszyci. – Czy cokolwiek pamiętasz? Ach, byłbyś teraz w moim wieku, gdyby gorączka nie zabrała cię za wcześnie przed tron Arkaya! – łkał bezustannie, nieomal dotykając koniuszkami palców policzków ożywionego kośćca.

Trzeszcze upiora zapłonęły ognikami niczym oczy zająca, który dojrzał w gęstwie przyczajonego myśliwego, mierzącego doń z łuku. Naraz nadleciał sierpowy od Orsimera, lądując na zuchwie trupa; w samą porę, bowiem Sigurd, a raczej to, co z niego zostało, już sposobił się do ugodzenia Andursa sztyletem chowanym gdzieś za miednicą. Na odsiecz powalonemu towarzyszowi nadciągnęła hurma zwłok, a część nowych powstawała z martwych, wyłamując deski trumien i wypełzając z sarkofagów. Zatrważająca wrzawa chrzęszczących stawów i tupiących pięt wybuchła nadto w katakumbach, płynąc przekopami jak smutna melodia marszu żałobnego, a uderzając w czułe bębniaki złąknionych, zmusiła ich do ucieczki, określonej przez podszytych tchórzem żołnierzy jako strategiczny odwrót. Umykali przed armią nieumarłych z łatwością, albowiem truposzczaki ruszały się jak muchy w smole, krzycząc za nimi przeraźliwie:

– *Horvutah Dovahkiin! Rok los hask wah Alduin!*

– *Krii ok zeymahzin! Helt zoor wah meyz vahzah!*

Zbiegowie wyśliznęli się z krypty do sieni komnaty umarłych, ryglując drzwi żelazną zasuwą, a dodatkowo barykadując przejście wszystkim, co wpadło im w ręce. Wkrótce horda ścigających ich poczwara uderzyła w zamknięte przejście, napierając na podwoje jak przyptyw na falochron łodzi, a po minucie dudnienia denaci, widząc, że nie sforsują masywnego wjazdu, poczęli wycofywać się do głębi, gulgocząc zagadkowe słowa. Grupa odetchnęła z ulgą, natomiast stróże doszli do przekonania, że ich praca dobiegła końca, ponieważ instrukcję dowódcy w pewnym sensie wypełnili – zeszli do podziemi i inspekcjonowali stan rzeczy, toteż nie żegnając się, czmychnęli chybko.

Staruszek Andurs, sapiąc ciężko, oparł się o filar i wycierał chustą spocone oblicze. Kiedy odzyskał siły, przemówił do orka:

– Niesłychane! Ile lat żyję...! Zanim przyszedłem do Smoczej Przystani, każdy jeden był potulny i spokojny jak trusia! – dziwił się, klękając przy ołtarzyku i czyniąc znak na czole. – O Arkayu! Czemu Sigurd, stary druh, czyhał na me życie?! Czy to obecność uzbrojonych wojów go zwiódła? Niewytłumaczalne, zaiste! – pochlipywał kapłan.

– Starcze, módl się! Módl się wiele, bo dziwowiska nie z tego świata mają miejsce w Skyrim – polecił ork.

– Tak, tak... Odprawię nabożeństwo za dusze tych biednych zmarłych – rzekł duchowny.

– Gdybyśmy tylko pojłowali ich słowa, pomiarkowalibyśmy, czemu nie spoczywają w pokoju.

– Powstał z klęczek. – Ale gdyby, ach gdyby na wierzbie rosły grzyby! Nie ogarniam rozumem ich mowy!

– Ani ja – dodał Golzagor. – Wyczuwam jednak intuicją, że kurioza te wiążą się z powrotem smoków. Nie bez powodu wszak umarli posługują się językiem, który znała bestia w Helgen. Bywaj!

– zawołał, krocząc ku wyjściu.

– Żmij także władał tym szwargotem?! – zdumiał się Andurs, chcąc zapytać o co orka, lecz tamten już przebiegł przez plac i zdążył po schodach do Smoczej Przystani.

Ogień trzaskał radośnie w palenisku, kiedy gro-Barlurka zajął stolik w kącie „Chorańwianej Klaczy”, u rozkosznej, ciemnoskórej kelnerki zamówił dzban orzeźwiającej mięty, a rozłożywszy na blacie

stertę książek Farengara, jął zapoznawać się z ich zawartością, szukając wzmianek o smokach tudzież używanym przez nich słownictwie. Powiedziano orkowi, że powóz do Wichrowego Tronu wyrusza dopiero nazajutrz, toteż dysponując pewną ilością wolnego czasu, postanowił pomóc nadwornemu magowi, wertując opasłe tomiścza; tak zafascynowała go kwestia latających stworów oraz ożywających trupów. Nawet bez względu na te okoliczności zaszedłby prędzej czy później do gospody, w której zgodnie z obietnicą jarla darmo najmował pokój; nie będzie przecież spać pod gołym niebem, skoro Balgruuf miał szeroki gest. Woluminy w różnych rozmiarach, jedne wielkości broszurek, inne duże jak albumy z rycinami ingrediencji alchemicznych, umieścił po bokach, robiąc niewielką, pustą przestrzeń pośrodku, a w jej granicach kartkował poszczególne księgi. Zapowiadał się długi wieczór!

Oberże w Skyrim, jak należało domniemywać, zerkając na drzwi wejściowe, które otwierane i zamykane kłapały bez ustanku, stanowiły centra życia towarzyskiego miast i wsi. Orsimer odnotował, iż każda austeria miała własnego barda zabawiającego gości frywolnymi kantylenami albo przygrywającego beztrósko do posiłku na instrumentach: cytrze, bębnie, lutni, flecie czy też anielskiej multance. Harmonijne piszczałki zawładnęły izbą, wypełniwszy po brzegi każdy zakamarek karczmy, zaś dźwięcząc jedwabnie, zdawały się przenikać rozstawione we wnętrzu amfory oliwy, przepajać kompotierki, wsączać się w patery z owocami, by zaraz wprawić w rezonans karafki szkarłatnego wina, odbijając się echem czystym niczym sumienie oseska, który dopiero przyszedł na świat.

Chaos południa gdzieś przeminał, mieszkańcy wyciszyli się, a strażnicy, którzy w komnacie umarłych położyli uszy po sobie, wstąpili na kusztyczka (chojracy przecież za kołnierz nie wylewają!). Niebawem niewiasta przyniosła krużę. Rozpływając się w uśmiechach, przeprosiła orka i przesunęła cymelia, aby postawić naczynie. Golzagar, pociągając ze szklanicy przy wtórze melodii, dyskretnie spoglądał spod rzęś na wdzięki oddalającej się dziewoi, a gdy zniknęła za kontuarem, przystąpił do pracy polegającej na wyszukiwaniu w tekstach niepozornego, krótkiego, czteroliterowego słowa „smok”.

Nie wszystkie informacje okazały się przydatne, jednak ork i tak skrupulatnie sporządzał notatki: „smocza łuska – potoczne określenie wrodzonej cechy wszystkich Bretonów, dzięki której mogą oni w pewnych okolicznościach wchłaniać energię rzuconych na nich zaklęć; Smoczymost – miejscowość w Haafingar; »Kolb i smok« – wydana w Skyrim książka dla dzieci nieznanego autora; Smocze Ognie – płomienie rozniecane w Cesarskim Mieście przez każdego nowo wybranego władcę Tamriel na znak prawowitości sprawowanego urzędu; smoczy język – niezwykle odporna na oparzenia słoneczne

ogrodowa roślina ozdobna; Zakon Smoka – prestiżowy konwent rycerski założony przez Tibera Septima głównie dla wysokich rangą oficerów Cesarskiego Legionu”... Znów ten Talos! Ogólnie jednak rzecz biorąc, nudy na pudy i mało pożytecznych konkretów. Oby Farengar miał więcej szczęścia!

– Czołem, orku! – odezwał się młodzieniec, siadając na krześle obok, zaś Orsimer rozpoznał w nim chłopaka pacyfistę, którego pytał na rynku o drogę do jarla. – Trafieś do Balgruufa?

– Tak, dziękuję. Już się z nim rozmówiłem – odpowiedział Golzagor, składając książki na jeden wysoki stos.

– Co studiujesz tak zawzięcie? – Kawaler z capią bródką wziął do ręki gruby tytuł w twardej oprawie. – „Bogowie i wyznania. Omówienie bogów i religii w Tamriel” Hetchfelda – przeczytał. – Nie wiedziałem, że orkowie interesują się konfesjami innymi niż ich własna wiara w Malacatha.

– Jestem z Cesarskiego Miasta – odrzekł gro-Barlurka, nieco znużony, że musiał tłumaczyć każdemu, iż nie pochodzi z twierdzy położonej tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. – Tak po prawdzie ten temat średnio mnie zajmuje. Prowadzę poszukiwania wiadomości o tych wstrętnych jaszczurach... Lecz nie wyłowiłem wielu wskazówek – dodał, patrząc na zabazgraną karteczkę z własnymi uwagami.

– Na twoim miejscu odwiedziłbym Arcanaeum – poradził panicz.

– A cóż to takiego? – zdziwił się ork, posyłając interlokutorowi pytające spojrzenie.

Chłopyś jednakowoż przyłożył palec do ust, dając znak, by Orsimer milczał, a następnie schwytał dzban z resztką napoju, wylał jego zawartość do donicy z dracena i gwizdnął na przechodzącą kelnerkę, by uzupełniła naczynie. Cud-dziewczyna szybko się zbliżyła i zabrała krużę, zaznaczywszy przy tym, żeby Jon – tak się bodaj nazywał – poniechał trucia płynami zieloności w oberży, bowiem już od samego oddechu kawalera kwiaty usychają. Później odwróciła się na pięcie, przedzierając się przez gęstniejący tłum gości, zaś oszołomiony młodziak szeptał do rozmówcy:

– Ach, ten polor mnie zachwyca! O co pytałeś?

– O Arcanaeum. Co to jest? – powtórzył ork, patrząc na roślinę, ponieważ przypomniał sobie, że żywica draceny bywa nazywana smoczą krwią.

– Nie rozwodząc się szczególnie nad podstawą etymologiczną słowa: *arcanus* – potajemny, sekretny i *ateneum* – nazwa wielu instytucji, takich jak akademie czy biblioteki – rozprawiał Jon.

– Teraz to poskładaj – polecił Golzagorowi.

Ten pogłównkował przez chwilę i niepewnym głosem wymamrotał:

– Sekretna biblioteka...?

– Oczywiście – roześmiał się chłopak, którego bystrość zdumiewała gro-Barlurkę.

W tym momencie do ich stołu posunęła oberżystka, lecz w niczym nie przypominała ona krasawicy obsługującej dotąd obydwu panów. Kobieta o kasztanowych włosach wyglądała na zmęczoną obsługiwaniem, a jej znużone, wąziutkie, piwne oczy wydawały się chować w oczodołach jak ślimak w skorupie. Jon ozwał się do niej:

– Ejże, gdzie Saadia?

– Z dala od ciebie – ucięła sterana, a burcząc coś pod nosem, ulokowała trunek przy górze foliów i odeszła.

– Słuchaj – przemówił do panicza Orsimer, przerywając ciszę, która nastąpiła – dużo książek trzymają w tym arboretum? Znajdzie się co o smokach?

– Arcanaeum – poprawił go. – Arboretum to szkółka drzew. – Urwał wypowiedź na moment, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Hm, wszystko wskazuje na to, że tak, owszem... Czytałeś całe mrowie... Wiesz, tyle że tak sobie myślę, iż może być problem z dostępem do tych zbiorów – dumiał intensywnie. – Rzecz w tym, że Arcanaeum należy do Akademii w Zimowej Twierdzy, do magów. Nie jestem pewny, czy cię wpuszczą, tym bardziej żeś nietutejszy... – wyraził wątpliwość kawaler, czym głęboko zmartwił rozmówcę.

Golzagor roztrząsał zagadnienie, pozerając wzrokiem apetyczną karkówkę wędzoną w dymie. Pieśniarz zaintonował w tym czasie piosnkę o zagląającym często do kieliszka Ragnarze Czerwonym, toteż niejaka Matylda – jak głośiły słowa śpiewki – ucięła birbantowi pusty łeb w podzięcie za prowadzony przezeń styl życia, powodując, że usta ochlapusa nie przyjmowały już nigdy więcej trunków. Oczywiście mogłyby je przyjąć, gdyby siłą włąć do gardła bon vivanta alkohol, jednakże takie marnotrawstwo nie było mile widziane w Skyrim – napitek wypływał toć szyją, tworząc kałużę na klepisku. Bywalcom „Chorągwaniej Klaczy” szansonetka najwidoczniej przypadła do gustu, albowiem radośnie wzniesli kufle pełne spienionych napojów, a gdy w knajpie wybrzmiał ostatni akord, nagrodzili barda gromkimi oklaskami. Makabryczne poczucie humoru mieli ci Nordowie.

Zaraz ktoś zawrzasnął: „czasuszkka!”, a pozostali podchwycili ten pomysł i sala wypełniła się rytmicznym skandowaniem: „Czas-tusz-ka! Czas-tusz-ka! Czas-tusz-ka!”. Wajdelota, wniebowzięty przebywaniem w centrum uwagi, dał za wygraną, aprobując prośbę tłumu, ukłonił się wpół i wnet nastąpiła cisza jak makiem siał. Dosłownie wszyscy – strażnicy po służbie, utyłane moczygęby, kelnerki –

skupili uwagę na trubadurze, a ten podjął gracko lutnię, odchrząknął i przystąpił do improwizacji, szarpiąc subtelnie struny w takt układanych na bieżąco rymów:

Ulfrik czmycha, bestia szaleje,
Niedźwiedź przemierza gęste knieje.
Nord się nie lęka i pierś wypina,
Boć już się napił setnego wina.

W tym miejscu winien przerwać – czterowiersz został zakończony; ludowy, sowizdrzalski liryk zwieńczyła puenta – zabawna, krotocwilna; treść odnosiła się do aktualnych wydarzeń, przedstawiając je w krzywym zwierciadle. Co można dodać? Ciżba domagała się wszelako kontynuacji, zachęcając poetę brawami, dlatego ciągnął melodię:

Kto świat ocali, któż lwie serce?
Kto zawierzy nadziei skierce?
Ważą i myślą mądre głowy,
Problem mają iście węzłowy.

Jak go przeciąć? Bard wam odpowie!
Nadstawcie uszu cni mężowie:
Ani wojownik, ani rycerz,
Ani buławnik, ani snycerz.

Nikt nie zatrzyma złego źmija.
Bard w bawełnę wam nie owija!
Niech się więc leje przednia ajerówka,
Bo nas wybawi jurna pokojówka.

Postawił kropkę nad i.

Izba wybuchnęła śmiechem łączonym z owacjami. Gmin sypał dusery, płocze panny mdlały, gdy bohater mrugnął do której zaczepnym okiem, te odważniejsze wciskały mu do dłoni i kieszeni perfumowane liściki, skreślone na wzorzystym papierze, a sam piewca, rozanielony karesami, z niejaką dezynwolturą – bez ogródek! z podniesioną przyłbicą! – wybierał młódki według upodobania: ta pójdzie

ze mną, ta poczwarna, ta na wieczór, ta zaś brzydka, lecz chutliwa... Cóż za nonszalancja! Całkiem bez pruderii! Nade wszystko im więcej się bisurmanił, tym bardziej czynił zadość wymogom dzierlatek, piszczącym jak czajki w porze godów. Jeśli Jon pragnął przypaść do serca śniadolicej kelnerce, przypuszczał ork, nie miał wyboru – musiał pisać wiersze. Najwyżej obwołają go wierszokletą, trudno! Grafoman i szmirus – to gorsze określenia. Grunt, by chwycić za pióro, a wylewając morze atramentu, tak jak Sven w korespondencji do Camilli...

– Zaraz, zaraz...! – zakrzyknął nagle Golzagor. – To jest to!

– Masz na myśli, że Saadia pietruszki nie sieje? – wymamlał przybity Jon, zafrasowany wziętością bezwstydneho pieśniarza. – Owszem, cieszy się powodzeniem u kawalerów, a i paru żonatych się znajdzie! Zamiast uderzać w konkury, powinienem pić jak dziurawa beczka...

– A ten znowu swoje! Samotnemu cały świat pustynią – odparł Orsimer. – Nie o tym mówię! Chyba wiem już, jak skorzystać z księgozbioru Arcanaeum. Farengar to nadworny mag w Smoczej Przystani, racja? – spytał, ale dyskutant jedynie mruknął co pod nosem. – Był elewem Akademii?

– Niewykluczone – odrzekł lakonicznie młodzieniec, nakręcając krótką bródkę wokół palca.

– Niech sporządzi list polecający, prosząc w nim, aby wpuszczono mnie do tej biblioteki – błysnął inteligencją gro-Barlurka. – Pewno jest z profesorami za pan brat. – Wstał z krzesła, a zebrawszy książki, dorzucił: – Strzeżcie się, smoki! Oto nadchodzę i żadna pożądliva subretka temu nie zaradzi!

Opuścił przybytek zepsucia i zberezeństwa, wychodząc w ciemną noc, a licząc też przy tym, że zastanie czarodzieja czuwającym. Ulice natomiast opustoszały, uprzedni gwar ginął w niepamięci, zastąpiony skrzypieniem kołyszących się na wietrze znaków: „Kocioł Arkadii” – tu handlowała alchemiczka; kuźnia „U Amazonki” – żar nadal buchał z ustawionego przed warsztatem pieca; „Pijany Łowca” – w pomniejszym lokalu elf kramarzył też łukami... Poza tym panowała cisza jak podczas flauty, aż dało się ułoić uchem z okólnych pól cykania świerszczy strydulujących w kierunku seledynowej zorzy, której wstęgi kołysały się z wolna niczym gładzone wicherkiem płótno, osuszane w słońcu na sznurach rozciągniętych między drzewami. Z niewyjaśnionego powodu zjawisko świetlne przybierało cudackie i dracze zarazem kształty; jawiący się w przestworzu wymysł wił się, kulił, kręcił jak chory w rzucawce, niemocem podźwignąć się z ziemi. Fenomeny zasię, zwarto okrasami garnirowane, zmieniły kolor na trupio blade, kojarząc się z jakim dziwowiszczem, najpewniej smokiem samym. Z przodu

wynikał czerep bestii, a na nim binda i rogi; po bokach doprawiono mu skrzydła; z rzyci sterczy ogon długi jak atlasowy giermak...

Denat i żmij – cóż za doborowy konglomerat! Co ich łączy?

Po powrocie do karczmy, kiedy Farengar poleciał już w piśmie orka, a ten z mapy dowiedział się, że Akademia w Zimowej Twierdzy leży jeszcze dalej niż Wichrowy Tron, wszedł do finansowanej dworskimi środkami kwatery i omiół sennymi oczami cztery kąty. Alkierz wydawała się przestronna, gustowna; umeblowanie, figurujące w podobnych oberżach, było tu czyste, zadbane, a dodatkowo wystawne, świadczące o zamożności. Nad łóżkiem – a z niego żaden barłóg czy madejowe łoże – wisiał arras, przy kredensie z ceramiką usadził się mniejszy pomocnik, odznaczający się witrażami w niewielkich szybkach, przechowujący bieliznę pościelową, natomiast poddaszna komnata wiodła nie na zewnątrz budynku, tylko do środka, tak że ork widział zza balustrady ludzi przed szynkwasm znajdującym się poniżej. Standard mieszkaniowy – zawyrokował Orsimer wcale szczerze – przewyższał „Śpiącego Giganta” w Rzeczej Puszczy o całe niebo.

Piszczek natenczas poniechał muzykowania, biesiadnicy wrócili do domów, więc Golzagor wyciągnął gnaty na posłaniu, zastanawiając się, jak nazwać tę dziwną konstrukcję pod zadaszeniem austerii... Balkon, taras i weranda wychodzą poza bryłę budynku, nie ulega wątpliwości! Loggię otacza kolumnada; ganek – to albo przedsionek, albo platforma na piętrze... Na dwoje babka wróżyła! A może galeria...? Coś jak kościelna empora nad nawą. Galeria, galeria, gmachów arteria... Chi, chi, chi! Wierszował jak bard! Co jeszcze rymowałoby się ze słowem „galeria”? Materia, mizeria... Hm, zastanawiające. Dyfteria! Nie, to brzydkie – za błonicę podziękował. Ach, o czymże on dumał? Wszystko wina pieśniarza! Łapserdak jeden! Przecie ork nie pitoliłby gorzej od niego, chybaby... Te krasawice... Dorodne takie... Cuda-niewidy, cuda-wianki, cud, miód, ultramaryna...

Głędził tak i dywagował, aż w końcu zapadł w objęcia Vaerminy, patronki spoczynku. Jak to dobrze! Toż rozmyślania stawały się coraz osobliwsze, jednakże marzenia senne, które przysły po tych bzdurnościach, wdzierających się zawsze do głowy wieczorami, były jednakowo fantazyjne.

Roily mu się różne nonsensowności: zmarli wtórujący piosenkom na flecie, rajfurki obmierzłe w zamtuzach, smoki wyskakujące jak nożem uciał z książek i hasające później po pokoju, Calanisa

Silmenda indagująca go nocą o drogę do Arcanaeum itp. Później atoli ukazał mu się we śnie Jon, a Golzagar poznał, że iluzje przemieniły się, przedzierzgnęły w formy bardziej realne, nieomal prawdziwe, uchwytne. Uprzytomnił sobie, że snadź mara jaka pojawi się za chwilę, ponieważ już doświadczył bliźniaczego zwidzenia, kiedy przyśnił mu się Khajit Ma'dran. Panicz wszelako, zamiast recytować enigmatyczne słowa jak ongi kotoczołowiek, przyłączył się do Orsimera, aliści szachownica z bierkami wynurzyła się z nicości między nimi i zaczęli grać.

Młodzieniec wykonywał pierwszy ruch, gro-Barlurka odpowiadał, nie chcąc zostać w tyle. Najpierwej pieszek zajął środek, blokując wroga, gdy z pomocą pospieszyli rycerze, wypuszczając się wrychle przed szereg na podrygujących rumakach, ażeby kruszyć kopie w obronie lichych trepów. Wówczas mężnie na pole bitwy wkroczył biskup z błogosławieństwem dla walczących, a przystanąwszy opodal od własnego obozu, czynił znak świętym obrazem, kiedy ujrzał popa z ciemnym epitachelionem podobnie czyniącego. Spojrzenia duchownych zetknęły się, o ile można mówić o jakiej widoczności w kłębowisku pojedynkujących się wojów, wzniesających gęste tumany kurzu.

Ork tak samo wznosił źrenice, obserwując skupionego nad planszą przeciwnika, i rzekł:

– Mówisz, że nie przykładasz wagi do wydarzeń politycznych i wojen, że lepiej jest stawać w szranki w grze szachowej, niż naprawdę odbierać życie. Respektuję twe zdanie – ciągnął śniący.
– Wiedz, waćpanie, że szczęku oręża nie możesz unikać do grobowej deski. Wždy następują takie sytuacje...

– Przemocy wystrzegam się jak morowego powietrza – wszedł mu w słowo kawaler. – Zawsze, w każdych okolicznościach, jak świat światem. Tobie też to radzę – dodał uszczypliwie.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co mawiają? Lepsza krótka wojna niż długi, a niesprawiedliwy pokój – zaripostował Orsimer, weseląc się w duchu, że odtworzył tę mało znaną sentencję.

– Powiadają też: pies, wesz i dziewczyna wojska się trzyma. Cóż z tego wynika? – wzdrygnął się chłopak, patrząc spode łba na rywala. – Otóż informuję cię, że nic z tego nie wynika. Porzekadła wyrażają prawdy ogólne; nie zwalniają od myślenia, a tym bardziej nie niosą ze sobą szczególnie głębokiej treści, chociaż niektórym może się tak wydawać. – Jon wzburzył się lekko, a targany wewnętrznymi emocjami permanentnie podejmował niestrudzone, kompulsywne próby, by umościć się na chrześzczącym krześle. – Najgorsza jest rozmowa z mędrkiem, który wyuczył się kilku maksym jak pacierza, uważając, że tym samym pozjadał wszystkie rozумы. Spróbuj zaoponować! Odpowie wtedy, że przysłowia mądrością narodów! Znajdź z takim besserwisserem wspólną płaszczyznę porozumienia, niech to

kule biją! – kontynuował wybitnie nieukontentowany. – A od działań wojennych, wracając do głównego wątku dyskusji, wymówisz się każdorazowo. Jak babcię Kocham! – zaznaczył, powołując się na miłość do bliżej nieznaney orkowi kobieciny.

Orsimer przyglądał się dyskutantowi z przeogromną ciekawością, ważąc długo, dokąd te fantazje zmierzały i dlaczego – chociaż był w pełni świadomy siebie – wciąż nie budził się w karczemnym legowisku. Toć winien dawno otworzyć oczy w otoczeniu cacanych sprzętów, przewrócić się na plecy i drzemać dalej! Ha, lecz wtedy nie dokończyłby partii z Jonem, zapowiadającej się tak ciekawie, choć nierealnej. Zatrzymał wzrok na czarno-białych polach i w mig znalazł się wpośród toczących pojedynki figur.

Pop nadal gorliwie łypał na biskupa obok, niemniej jednak uradził, by nie podnosić nań ręki; że to niestosowne, nie przystoi duchownemu mocować się z innym członkiem kleru. Podobnych skrupułów nie miał piechur osłaniający lewą flankę, a wyruszywszy naprzód, bez wsparcia czy straży, zagroził księżulkowi, pobrzękując nędzną szabelką. Ten zaś, czy to nie dając sobie w kaszę dmuchać, czy pragnąc zasmakować krwi, pastorałem swego archimandryty dzielił naiwnego chwata, aż ów zatoczył się i legł u jego stóp jako pierwsza ofiara bitwy. Gambit został przyjęty! Dowódca obozu wojowników w ciemnych pancerzach poznał wtenczas, że wybieg był celowy, zdradziecki niczym stroma ścieżka górską, boć pop nazbyt oddalił się od oddziału i zaraz natarł na niego następny chłopak, tym razem asekurujący się krajanami. Kapłan, rad nierad, omijając wilcze doły zastawione na nieostrożnych, wziął nogi za pas, znajdując schronienie na obrzeżach walk, tuż przy rwącej rzece, tak że dalej uciekać nie mógł. Wystarczyło to jednakowoż, by ocalić życie.

W tym czasie oponenci, wykorzystując nieuważę wroga skupionego na przypadłości pełnego ikry duchownego, przypuścili szturm środkiem i jądro potyczki rozgorzało na nowo zawziętym bojem. Drab Golzagora wymierzył cios nieprzyjacielowi, natomiast on, nie mogąc skontrować, gdyż zanadto obnażyłby monarchę, rochował, kryjąc króla przed celującym doń strzelcem łuczny. Władca przytaił się za gęstą linią wojskowych, gotowych złożyć na ołtarzu własne życie, stawiając tamę ofensywie śniado-skórych najeźdźców. Smagły pion podówczas, podekscytowany sukcesami, następował bezkompromisowo. Hajda na front! Byle do przodu, byle przed siebie! Machnął karabelą w łeb najbliższego żołnierza i już łącznie trzech zaborców gryzło glebę. Spektakularny wyczyn!

– A co jeśli strona napadająca dopuszcza się ucisku, uznając jedynie prawo silniejszego i argumenty siły? – spytał ork, rad z przebiegu partii. – Tak jak ten pieszek, który doszedł do trzeciego rzędu, wycinając w pień twoje bierki. Bronić się czy patrzeć beczynnym na pogrom?

– Owszem, przystoi postawić się kantem – odrzekł Jon, oparłszy głowę na rękach i pochyliwszy się nad szachownicą, dzięki czemu zdobywał, mówiąc żargonem miłośników królewskiej gry, przewagę przestrzeni.

– Czyli zgadzasz się, że w niektórych realiach walka jest konieczna?

– Tego nie powiedziałem – westchnął młodzian. – Rzecz polega na tym, aby spasować i zwyciężyć. To trudna sztuka, ale jeśli ci się powiedzie, zostaniesz bohaterem – mówił, przenosząc źrenice to na figury, to na rozmówcę.

Orsimer parsknął śmiechem:

– Chyba mam stępiełe uszy! Spasować, lecz wygrać?! Pleciesz troje niewidy! Nie można złożyć broni i zatriumfować! Co za banialuka! Bujda na resorach! – natrząsał się z Jona.

– Udowodnię swoją rację! – rzekł rozemocjonowany, na powrót kręcąc się jak kokosz na jajach. – Tu i teraz! Do rozgrywki! – zarządził chłopak, kierując palec wskazujący w stronę intarsjowanej deski.

Bojownicy ucięli sobie drzemkę podczas przerwy w potrzebie: skoczek przysnął oparty o sosnę, chłopki zgrupowały się i grały w lombra, laufry wycinały rozety z papieru, zamiast dostarczyć korespondencję do dowódców. Wtem wielgachna łapa schwyciła hetmana, a ciągnąc naburmuszonego za żupan, umiejscowiła go za giermkim, ażeby wespołek z nim składał się do sztychu w słaby punkt ordy nienawistników. Dostrzegając ten ruch, pionki rzuciły karty, ustawiając się w falandze, skakun zarżał i znów strzegł sfatygowanego rejteradą popa, a wódz rozważał, jak groźbę odeprzeć. Trwożliwy uradził, by posłać w bój królową, a zasłoniwszy się jej wdziękami, siedział gdyby trusia za plecami pani, wierząc, że przeciwnik nie podniesie ręki na niewiastę. Rzeczywiście, adwersarz odwłóczył inwazję, jednakże rozwinął rycerza, rozprawiając się z zagonem, a następnie wyczekiwał repliki, czyhając na omyłkę jaką.

Przysła ona szybciej, niż się spodziewał. Ork odkomenderował drugiego konia, ułożywszy plan skrycia na skrzydle bojaźliwego monarchy, gdy raptem skakun – ten sam, który przed chwilą usychał z nudów obok rocha i gońca, by wnet piechura zdruzgotać – wypuścił się heroicznie przeciw damie, szczerząc kły w kierunku baby i skoczka znajdującego się na właściwym stanowisku, acz przedwcześnie. Wyśmienity przyczółek, choć zwycięstwo wciąż widłami na wodzie pisane!

Tarantowate konisko cieszyło się z przedniej szarzy, nogę zginało, wywijało ogonem, jeździec radował się wraz z ogierem. Już pojedynek wisiał w powietrzu, bo konny z trudem ściągał cugle bachmatowi; ten patrzył chciwym okiem na damę i palił się do pognania wprzódy. Tuż-tuż rozpęta się starcie zbrojne, tłumiona furia znajdzie ujście, a bystry nurt amoku zerwie tamy powstrzymujące pasję, wylewa-

jąc na krainę pokoju rzekę antagonizmów i pożogi. Zaraz krew zwilży glebę, pojąc trawę szkarłatem; ciemniejsze pola staną się kasztanowe, jaśniejsze – przypomną pąsy na jagodach niebogi. Wiele szczebio-tek spłynie dziś łzami, kiedy umiłowani witezie zapłacą najwyższą cenę. Wojownicy niby jeszcze trzymali nerwy na wodzy, niby przybierali maski stoików, lecz w duszach tlił się ogień abominacji, który eksploduje czerwonym kurem nie tak het daleko!

Wtedy czarny rycerz nie zdzierzył fermentu. Podniecenie kotłujące się w trzewiach rozkazało mu pocwałować na ciemieźcę. Nuże, chabeto! Przełajem! Niech poczuje smak lancy i się nią udławi!...

– Przedstawię egzemplifikację – rzekł ork do kontrpartnera, machając nonszalancko pięścią zaciśniętą na podjętej figurze. – Dajmy na to, że mamy podłą frakcję pod komendą nikkzemnego wodza, a jego adherentami są łapownicy i przemytnicy. Sprawują niemalże nieograniczoną władzę, toteż robią, co im się żywnie podoba. Hulaj dusza, krótko mówiąc. Niewinnych skazują na śmierć, rokoszan ścinają... – opowiadał, wystawiając Jona na próbę. – Dysydenci, zgodnie z twoją radą, położyli na rewolucie krzyżyk. Spasowali. Marzyli o triumfie, rzecz jasna, o obaleniu bezecnych rządów, co ocaliłoby niejedną duszę. Wówczas trafili jednak pod katowski topór, w rezultacie czego tyrania nadal trwa, bezwinni giną jak muchy, natomiast satrapa pluje przyzwoitości w twarz. Gdzie sprawiedliwość? – spytał Golzagor, nie oczekując sensownej odpowiedzi.

– W Sovngardzie – zareagował słownie panicz, tak jakby stwierdzenie jego było truizmem.

– Aaa, w Sovngardzie... – śmiał się złośliwie Orsimer. – Czyli w zaświatach? Wyborna idea! Wystarczy zaczekać, aż despota sam wyciągnie kopyta! Że też na to nie wpadłem...!

– A jakie cele przyświecają Ulfrikowi? Wiesz? – przerwał mu kawaler, drapiąc się ostentacyjnie po brodzie. – Czy jesteś świadomy jego ideałów, marzeń, pragnień? Czy tak tylko do siebie przystaliście, bo łączy was wspólny wróg? – ciągnął Jon, przejrzawszy intencje orka.

Tamten zreflektował się, że nie był aż tak za pan brat z gromowładnymi i nie znał ich postulatów czy filozofii. Celna przymówka rozeźliła go:

– Co zwid z kulawego koszmaru może mieć do powiedzenia na ten temat?! Ty nie istniejesz!

Młodzieńca widocznie bawiło rozdrażnienie rozmówcy, bo zbudowany tym ostrzem krytyki osunął się niedbale na oparcie, a krzyżując ręce na klatce piersiowej, dodał:

– Nie każdy, kto się do ciebie mizdrzy, jest twoim przyjacielem.

– Trzymaj mordę na kłódkę! – zawrzasnęła gro-Barlurka, sapiąc głośno. – Ty nie cierpisz przecie aforyzmów! – Łypnął wytrzeszczonymi oczami na szachownicę, na skoczka w drżącym kułaku, po czym

zbił gwałtownie figurę rywala, aż przejechał pazurami po drewnie, stawiając swoją bierkę na d5.

Dżygity poległ, kilkumetrowa kopia brzęknęła i potoczyła się po żyznej ziemi w stronę gońca. Jazgotliwy dźwięk rozlegający się na równinie zabrzmiał niczym wezwanie do bitwy, burząc krew żołnierzy. Rzeź czas zacząć! Nikt się nie ostate! Opanowani dotąd wojowie zagrzmieli okrzykami bojowymi, szczękali mieczami o kałkany, dając impuls do bezpardonowego boju. Hajże na nieprzyjaciela! Niechaj posoka wycieknie ze ścierwich serc, niech ostrza przerzną tętnice tłoczące nadaremno parszywą juchę! A kiedy już trupy runą na glebę, zanim złożone zostaną do grobów, muchy dogodzą swym brzuchom, zaś larwy wypełzną, pożerając miękkie członki, bo tylko na to zdadzą się omierze, plugawe cielska zabitych. Do boju ze szwarczarakterami! Siarczyście, drabie, na pohybel bałwochwalcom!

Piechur, wysłuchawszy pokrzepiających słów, natarł na skakuna. Łubu-du! Koń chwilę wierzgał, a później padł trupem. Pionek poszedł za ciosem i następnego wziął na cel. Trza wyrwać się z jego rąk! W opętańczej galopadzie rycerz popędził przy boku chłopka, unikając zgnięcia. Wirtuozerska wolta! Lecz wtem kolejny bułanek walił jak w dym! Trach! Na wylot przebity kirys farysa i grot ociekał krasnymi wątpiami. Królowa nie ścierpiała tego pogromu – włączyła się do potkania, odstępując od monarchy. Brzdęk! Przysoliła buławą w środek czoła i podlec nakrył się nogami! Naówczas otwarła się kolumna, torując drogę ofensywie na króla, ale dama paraliżowała jeszcze działania białych. Odpędzić ją! Niech chorąży złoży się do strzału, płosząc babę za dziesiątą górę!

Gro-Barlurka widział, że znalazł się w nieciekawym położeniu, bowiem Jon stłamsił wszelką jego inicjatywę, uruchomił większość figur, wykonał rozsadę, a przede wszystkim – czynił ruchy, na które ork musiał natychmiast reagować, rezygnując z jakiegokolwiek planu gry, gdyż w innym razie wpadłby w jeszcze większe tarapaty. Kawaler przesunął tymczasem bierki od niechcenia; zdawało się, że chwytając je elegancko w prawicę, zbiera kamyczki z ogrodu, by pstryknąć nimi poza płot, a kiedy ponownie stawał na drewnie uniesione piony, wieże, skoczki, gońce, przekreślał groteskowo nadgarstek, jakby czarował bądź fajtał w powietrzu niewidoczną różdżką. Czy robił to intencjonalnie, usiłując wyprowadzić oponenta z równowagi? Orsimer nie znał odpowiedzi, jednakże przypuszczał, że Caissa, muza szlachetnej rozrywki, powinna ukarać młokosa za parodiowanie arcymistrzów.

– Nie wie, co to pokój, kto nie skosztował wojny! – wrzasnął Golzagor, dworując sobie z rywala.

– Na wojnie więcej rada niż oręż pomoże – odrzekł Jon bez drgnienia powiek.

– Chcesz pokoju, gotuj się do wojny!

– Co pokój zrodzi, to wojna wygubi.

– Zły pokój cięższy bywa nad wojnę!

– Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. I jeszcze jedno – ciągnął przekomarzanki chłopak.

– Wojsko hetmanem stoi. Hetmanem! – Wskazał czarną królową orka, zagrożoną biciem.

Szlachetna dama uskokczyła przed ciosem, ubezpieczając małodusznego pieszka za nią, aliści nadbiegł jakiś szeregowy żołnierz, mniemając, że zdziała co cherlawym nadziekiem. Jakże się zdziwiła, gdy ów, miasto starać się po próżnicy skórę jej garbować, stroił miny błazeńskie, jęzor na brodę wywalał, smagał ją biczem satyry: „Hej, jaśnie oświecona! Odziedziczyłaś po kądzieli błękitną krew czyś błękitna pończocha? Drętwa sawantko, co było pierwsze: kura, jajo czy kwadrat logiczny?”. Nie mogła zaaprobować tych kostycznych uwag impertynenta! Bach go przez czerep ozdobnym piernaczem, aż wywinął orła! Konfuzja cię teraz, warchole, ogarnęła, zali srom okrył, kiedyś zwałił się jak kłoda? Głupie prawo, ale prawo: każdy szeregowy – kiep.

Pionek nic nie odrzekł babie; jakże dałby odpowiedź, skoro nie żył? Wtenczas chorąży kropnął jak z armaty w chłopka, którego miała strzec, lecz opuściła stanowisko, gdy kpiono z jej dowcipu. Przeto drwiny podstępem! Tak łatwo wpaść w potrzask niczym ślepy niedźwiedź! Rochu, podejmijże obronę!

Wieża tedy usunęła się z linii ognia, a w tym momencie konsekwentny szturm poszedł środkiem, prosto w odkrytego króla. Szach, dynasto! Gardez! Elekt orka dał susa, popłoch przygnał go do nieruchawego gońca, który nie wykonał nawet posunięcia od początku potyczki. Laufer trwał w bezruchu, wybałuszał ślepią na widok pierzchającego suwerena, odcinając mimowiednie drogę ucieczki... Przesuńże się, ciemny żłobie! Za późno...!

Przystąpił do królowej hetman Jona, przekraczając nie bez kozery niemal cały teren działań wojennych, a minawszy trupy, przepłoszył sępy zbierające się wokół zwłok towarzyszy. Zbliżył się do damy, złożył ukłon i twierdził, że z poselstwem następującym przybywa: włodarz zostanie oszczędzony, jeśli wojownicy Golzagora niezwłocznie skapitulują, gdyż batalia już przegrana. Łatwowierna pani, zabiwszy piona, nie odeprze dalszych ataków: ustąpi na drugi plan – oskrzydłony małżonek postrada życie, nie ruszy się z miejsca – sama polegnie, a król dołączy do niej w innym świecie kilka chwil później. Żaden pat ani wieczny szach – nic nie odwlecze nieuniknionego blamażu. Upewniwszy się, że nie blefował, rzuciła broń, a za nią pozostali wojownicy, rozzaleni, że tego dnia wrócą na tarczy. Ogorzały monarcha dołączył rychło do triumfatorów, oni wyszli z kurzeni, zaś pokonany złożył przed obliczem czempiona koronę oraz buławę, symbole władzy, zaś hamletyzując dłuższy czas, opieszale, bez zapału, bijąc się z myślami, że oto zdaje się na łaskę i niełaskę wroga, oddał hołd antagoniście, z którym tak

bezwzględnie krzyżował miecze. Armia młodzieńca wiwatowała, zastępy chrobrych rycerzy huczały tubalnie: „Chwała zwycięzcy! Najwznioślejsze wyrazy rewerencji dla pierwszego wśród mistrzów – kawalera z Białej Grani; pierwszego, który sięga po laury, zwijając żagle próżnej pychy i zbędnego oporu! Nauczyć moresu nierozumnego Orsimera!”.

– Czy potykałem się z tobą nieroztropnie? – spytał wnet Jon, a szachownica przed nim rozwiała się jak dym. – Czy raczej dopuściłem, byś sam się poznosił? Po cóż wysublimowane kombinacje nie do policzenia? Wystarczy żelazna konsekwencja.

Ork chciał odpowiedzieć, jednak nie był w stanie uchylić ust; coś jakby zawarło mu szczękę, uwiązało na smyczy język, pozwalając, by panicz dokończył patetyczną rzecz:

– Po cóż zabijać? Słabeusze sami się wykończą, płacząc wążki nogi we własnoręcznie zastawionych wnykach. – Mówiąc to, wyciągnął w kierunku interlokutora dłoń ze spoczywającą w niej figurą króla z odpiloną głową.

Gro-Barlurka, rozsierdzony niekorzystnym wynikiem oraz hucpiarstwem zuchwalca, który nie znał miary i pozwolił sobie – moralizator szubrawy! – tak protekcyjnie rezonować, wymierzył raz w facjatę dwudziestolatka, by nabrał chyba szacunku dla starszych, a jeśli przy okazji warkoczyk mu się rozsypła, to bodaj wyładnieje. Pięść wszelako zatrzymała się na masywnym oparciu łóżka. Posłanie nie stało się subtelniejsze od ciosu, a wręcz zbrzydło. Należy jednak zwrócić legowisku honor – odpłaciło tą samą miarką, pozostawiając drzazgi w knykciach agresora, boksera meblarskiego, wyjącego z bólu w środku nocy.

Wraz z nastaniem kolejnego dnia do Białej Grani przyciągnęli rolnicy z bogactwami natury, straganiarze, przekupnie i jak jeden mąż rozstawili stoiska na placu przy wyschniętej, nieczynnej studni, frymarcząc artykułami powszechnego użytku. Nie ulegało wątpliwości – rozpoczął się loredas, dla wielu dzień wolny od pracy, dlatego mieszkańcy gromadnie wypłynęli na ulice, oglądając biżuterię, zdezelowane czytańdła, zabawki, rondle, garnce i wszelką drobnicę. Ork przystanął w pobliżu kramu z orężem, podziwiając zakrzywione kindżały oraz nabite kolcami morgenszterny, które niejednego zakapiora podziurawiłyby jak rzeszoto. Rozglądał się za pożyteczną, a także – powiedzmy sobie szczerze – w miarę

tanią bronią, gdyż jego kordzik zginął bez śladu w górach Jerall, a puginał nieboszczyka Gunjara zbył za półdarmo w Rzeczej Puszczy.

– Mogę przyjrzeć się tamtej szabelce? – zapytał się sprzedawcy.

– Ach, sokoli wzrok! – pochwalił go Redgard z ekstrawaganckim, stojącym sztorcem na czubku głowy puklem ciemnych włosów. – To rakabela... karabela – zająknął się. – Podobno w Akavirze istnieją krainy, gdzie nosi się je li tylko dla ozdoby – opowiadał, podając ostrze.

– Może sądzą, że przydaje to splendoru – odrzekł Orsimer, zatopiwszy spojrzenie w krzyżowym jelcu i dekoracyjnej rękojeści.

Sama broń była stosunkowo lekka, dobrze wyważona, niezgorzej leżała w dłoni, w związku z czym nadawała się do pojedynku, gdyby kto zażądał satysfakcji, lecz nie konweniowała, by porwać się z nią chociażby na horkera. Zawartość orkowego mieszka poczęła się jednak, po raz kolejny w ciągu ostatnich dni, gwałtownie umniejszać, więc Orsimer zdecydował się na zakup przeciętnego moderunku.

– Przypadła mi do gustu. Ile septimów się należy, szanowny panie? – spytał, biorąc w rachubę, że podróż do Wichrowego Tronu i przygotowanie zapasów na drogę wyniesie czterdzieści sztuk złota okładem.

– Ledwo sto i jeszcze pięćdziesiąt – odpowiedział handlarz, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Okazja! Proszę nie czekać, aż ktoś sprzątnie ją panu sprzed nosa!

Golzagor wytrzeszczał oczy z niedowierzaniem i jęknął:

– Ile?! Nie dałbym nawet połowy tej sumy za to chucherko w Dzielnicy Handlowej Cesarskiego Miasta!

– Ceny wzrosły z uwagi na wojnę domową. Powiem coś panu w tajemnicy... – Subiekt nachylił się konspiracyjnie w stronę reflektanta. – Wieść gminna niesie, że wilkołaki grasują! Jeden ponoć zniszczył Helgen i pozjadał strażników – rozwodził się szeptem. – Tylko ani mru-mru, bo ludzie w histerię wpadną.

– Wilkołak w Helgen. Coś podobnego – naigrawał się gro-Barlurka. – Obawiam się, że do wydania mam... Bez pochyby piętnaście septimów. To wszystko, naprawdę – przekonywał.

Tandeciarz zmarszczył czoło, drapiąc się powyżej skroni, po czym zniknął na moment za budą, wygrzebując z zakamarków żelazny sztylet, którego trzonek obłożono kilkoma pasami materiału, chyba lnu. Doskonała pinezka, narzędzie do podważania gwoździ i niezrównany przycisk do papieru w jednym!

Ork, wyekwipowany w nóż i wałówkę, udał się wkrótce do stajni za murami miejskimi, gdzie czekała kareta z mierzynami oraz stangret, który wyjaśnił, że pokonanie drogi do Wschodniej Marchii

zajmuje zazwyczaj pełne dwie doby, co oznaczało, zgodnie z dedukcją i prawidłami matematycznymi, że Ulfrik i jego kompania zapewne dopiero dobijali do bram swej sadyby. Goltzagor uścił zapłatę u woźnicy, zlustrował z zewnątrz lekko wysłużoną landarę, uchylił drzwiczki, wrzucając do środka bagaż, a następnie sam wgramolił się do powozu. Wewnątrz siedział w kącie zwałisty dżentelmen, prawdopodobnie rdzenny mieszkaniec Cyrodiil, sądząc po rysach twarzy: orlim nosie i ostrym podbródku. Podali sobie ręce, a Orsimer zajął miejsce przodem do kierunku jazdy. Trzeba zauważyć, że nie znosił długich wojaży – każda wyrwa, każda dziura w nawierzchni wywoływała u niego mdłości, więc gdyby odległość była chociaż trochę krótsza, przemaszerowałby chętnie całą drogę.

Zastanawiał się, jaki dystans pokonał w ciągu ostatnich paru dni. Przemierzył z Khajiitami góry Jerall, później żołnierze Legionu odprowadzili go do mamra, na wozie z gromowładnymi dotarł do Helgen, stamtąd uciekł do Rzecznej Puszczy, by wnet podążyć do Smoczej Przystani... Będzie tego jakieś siedem mil, nie w kij dmuchał! Aż dziw, że stawy nie odmówiły dotąd posłuszeństwa.

Po kilku minutach wozak dał znać, że pora odjeżdżać i że chyba nikt więcej nie dołączy, przeto strzelił batem po końskich zadach, kobyły przyzwyczajone do notorycznego poganiania opornie szarpnęły i podróżnicy pomału odjechali w siną dal przez malownicze zakątki Skyrim. Ork wyrzwał jeszcze z okienka, spoglądając na niebotyczny kasztel wynurzający się ze środka równiny, w którym Proventus przyjmował pewnie następnych emisariuszy, zaś nudny jak lukrecja Balgruuf dumiał nad sposobami obrony w razie ataku smoka. Żegnajcie, jaśniepanowie! Wasz gość obrał inny kurs, preferując towarzystwo buntowników. Dokonał wyboru – i nic na to nie poradzicie!

Bujał tylko myślami, roztrząsając znaczenie niepowszednich snów, które regularnie go nawiedzały, zwiastując coś. Wierzyć w to czy nie? Przecież to jedynie gusła, niedorzeczne wytwory wyobraźni nieujętej w karby rozsądku i przytomności! Ale przecież bogowie zsyłali dawniej sny prorokom, wskazywali cele bohaterom, dawali polecenia... Może kryje się w tym sens, tylko kto mógłby go zgłębić, zinterpretować?

– Czy miniemy na szlaku jaką twierdzę orkową? – zawołał do woźnicy.

Tamten pogłótkował, a odwróciwszy się, odrzekł:

– Nie, jednakże będziemy przejeżdżać w pobliżu Narzulbur. Trzeba by odbić od traktu nieco na wschód. To nadłoży ze dwie godziny drogi.

Niekończąca się eskapada miała tym sposobem swój dalszy ciąg.